

Heinrich von der Haar, Mein Himmel brennt, KaMeRu Verlag 2010, 460 Seiten.

Ora et labora – Bete und arbeite. Dieser Spruch stammt aus dem Spätmittelalter, und genau dorthin fühlt man sich versetzt, wenn man den Debütroman *Mein Himmel brennt* von Heinrich von der Haar liest. Wie steter Landregen durchdringt das Gebot die Geschichte des Jungen Heini, der im erzkatholischen Münsterland der Fünfziger und Sechziger Jahre aufwächst. „Im Münsterland plästert's oder es läuten die Glocken“ – doch auch wenn die Sonne scheint oder die Kirchenglocken schweigen, wird man das Gefühl steten Regens und bedrückender Enge nicht los. „Eines Tages renn ich übern Horizont zum Ende der Welt“, nimmt Heini sich vor. Da ist er gerade vier Jahre alt, hat drei große Brüder, drei ältere Schwestern und zwei jüngere Geschwister, zu denen sich in den kommenden Jahren zwei weitere gesellen werden. „Schwiech still!“, schreit oder flüstert der Vater, entmutigt, genervt oder wutentbrannt. Ob Heini nach den jüdischen Einwohnern fragt, die früher in Steinhop lebten oder um Taschengeld für die Kirmes bittet; dieses „Schweig!“ donnert durch die Küche und über den Hof. Oft gibt es Prügel, nicht nur Ohrfeigen, nicht nur ein wenig. „Hätt's Mama bei der Geburt doch in'n Graben gehalten!“, schreit der Vater wieder und wieder, bis Heini ihn zu hassen beginnt. Nur „reich an Kindern“ sind die von der Tanns. Das bestimmt das Leben auf dem Hof, jedoch nicht die Gedanken des Protagonisten oder die Formulierungen des Autors. Leise, wie ein steter feiner Niesel flicht Heinrich von der Haar Sätze oder einzelne Wörter ein, die das Ausmaß der Armut zeigen. „Karl ist schon im Wasser. Ich rufe und er wirft mir seine Badehose zu. [...] Karls rutschende Badehose zieh ich wieder hoch, geh aus dem Wasser, wechsele die Hose und werf sie (zurück).“ „Vier Wochen nach Weihnachten kommt der eisige Ost geradewegs aus Sibirien, [...] überzieht die schwarzen Holunderbeeren mit Eishäuten und bringt [...] glitzernde Schlafkammerwände.“ Sachlich klingt der Satz und erzählt doch eine ganze Geschichte, innerhalb der Geschichte. Dann wieder „(prickeln) die Schneeflocken wie Brausepulver“, legt die verbitterte Tante Trude „den Kopf seitlich wie eine Drossel, die eine Schnecke am Stein zerschmettert“, und „streiten sich Eichelhäher und Schwarzdrosseln um Pfundsbirnenreste“. Der Debütroman schafft es, neben der Leidens- und Erlösungsgeschichte des Jungen Heini den später oder glücklicher Geborenen eine Fülle an Informationen zum Alltag eines Bauern der Fünfziger Jahre zu liefern. Detailliert bis zur Brutalität, im Bullenstall oder beim Abendbrot, „Ora et labora“. Der Weg in den Himmel führt nur über Gebet und harte Arbeit. Mit zehn steht Heini zum ersten Mal auf dem Kirchturm und lässt sich vom dicken Pfarrer die Welt zeigen. „Münster so nah.“ „Lesen bildet“, sagt der Pfarrer, der Vater verbietet es. Heimlich liest Heini. Wenn er nicht gerade einem Hahn den Kopf abhackt, junge Katzen ertränkt, beim Ferkeln hilft, Kühe melkt oder treibt, Kartoffeln legt, Rüben hackt, Garben bindet oder Heu hievt. Heini ist ein Junge, der schlichtweg alles glaubt und das mit ganzer Kraft. Es fällt es ihm schwer zu zweifeln. „(Ich) saug Akazienblüten-Rüssel aus, der Nektar schmeckt süßer dieses Jahr. Nach dem Frost und Hochwasser duftet's Gras frisch. Meine Angst vor der Flut ist weg. Irgendwas stimmt nicht dran, dass Gott an allem Schuld ist.“ Es gibt Seiten, auf denen es stürmt und schneit in Steinhop, „ein harter Ost“ pfeift, es gießt wie aus Eimern und man wundert sich nachher, dass auch die Rede von heißen Sommern ist. Mit vierzehn lernt Heini Isolde kennen, ein Mädchen aus einem Nachbardorf. Sie will keinen Bauern und Heini verspricht ihr weiterzulernen, schafft durch ein „Wunder“ (nach all den vergeblichen Gebeten um Unterstützung) die Aufnahmeprüfung für die Oberschule in Münster und wird vom Vater halb totgeschlagen, weil er den Hof verlassen will. Dann brennt der Himmel. „Ach was, meine

Hölle brennt!... Es ist vorbei. Ich weiß nicht genau was, aber es ist vorbei.”

Rita König

Ora et labora

Heinrich von der Haar, Mein Himmel brennt, KaMeRu Verlag 2010, 460 s.

Ora et labora – módl się i pracuj. Hasło to pochodzi z późnego średniowiecza i czytelnikom debiutanckiej powieści Heinricha von der Haara *Mein Himmel brennt* (dosł. „Moje niebo płonie”) może wydawać się, że tam się właśnie przenieśli. Codziennosc chłopca o imieniu Heini, wychowywanego w arcykatolickim Münsterlandzie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, jest przesiąknięta tym nakazem. „WMünsterlandzie albo leje, albo dzwonią dzwony” – ale nawet kiedy świeci słońce a kościelne dzwony milczą, nie można pozbyć się klaustrofobicznego poczucia, że wciąż pada. „Pewnego dnia przebiegnę poza horyzont, na koniec świata” – postanawia Heini. Ma wtedy cztery lata, trzech starszych braci, trzy starsze siostry i jeszcze młodszego brata i młodszą siostrę, do których w najbliższych latach dołączy kolejna dwójka dzieci. Ojciec, zrezygnowany, zdenerwowany lub wściekły krzyczy albo szepcze tylko „bądź cicho!”. Nieważne, czy Heini pyta o żydowskich sąsiadów, którzy kiedyś mieszkali w Steinhop, czy prosi o kilka groszy na bułkę z kremem – przez kuchnię po podwórko wciąż słyszy tylko grzmiące „cicho!”. Często dostaje lanie, nie tylko po uszach, i nie tylko klapsy. „Gdybyś was matka rodziła od razu do grobu!” – woła wciąż ojciec, aż wreszcie Heini zaczyna go nienawidzić. Rodzina von der Tanns jest bogata – ale tylko dziećmi. I właśnie to określa sposób życia w gospodarstwie – ale nie myśli bohaterów ani sformułowania autora. Niczym cichy deszcz spływają na czytelnika zdania albo nawet poszczególne słowa Heinricha von der Haara, które ukazują cały wymiar nędzy. „Karl jest już w wodzie. Wołam go, więc rzuca mi swoje kąpielówki. [...] Podciągam opadające wciąż kąpielówki Karla, wychodzę z wody, przebieram się i rzucam mu je z powrotem.” „Na cztery tygodnie przez Bożym Narodzeniem przychodzi ostry mróz prosto z Syberii, [...] okrywa czarny bez cieniutką warstwą lodu, którą [...] połyskują też ściany sypialni.” To zdanie brzmi rzeczowo, a przecież opisuje całą historię, historię w historii. A potem znowu „śnieżynki szczypią jak proszek”, rozgoryczona ciotka Trude „kładzie głowę na bok jak drozd rozgniatający ślimaka na kamieniu”, a potem „te sójki i kosy kłócą się o ogryzek gruszki”. Debiutancka powieść o historii cierpienia i wyzwolenia chłopca o imieniu Heini dostarcza później lub szczęśliwiej urodzonym czytelnikom wiele informacji o codzienności wiejskiego życia w latach pięćdziesiątych. Jest szczegółowa aż po brutalność, czy to w oborze, czy przy kolacji, „ora et labora”. Droga do nieba prowadzi tylko przez modlitwę i ciężką pracę. W wieku dziesięciu lat Heini po raz pierwszy stoi na wieży kościelnej i słucha opowieści grubego księdza o życiu. „Münster tak blisko.” „Książki kształcą” – mówi ksiądz, a ojciec zabrania czytać. Heini czyta w tajemnicy. O ile akurat nie odcina głowy kogutowi, nie topi kociaków, nie pomaga przy narodzinach prosiaków, nie doi albo nie pasie krów, nie sadi ziemniaków, nie zbiera buraków, nie wiąże snopów ani nie nosi siana. Heini to chłopiec, który wierzy dosłownie we wszystko, i to z pełną mocą. Wątpliwości przychodzą z trudem. „Spijam nektar z akacji, jest w tym roku słodszy. Po mrozach i powodzi trawa pachnie świeżością. Przestałem się bać zalania. To chyba nie może być prawda, że winę za wszystko ponosi Bóg.” Są takie strony, na których w Steinhop szaleją burze i pada śnieg, wieje „mroźny wschodni wiatr”, leje jak z cebra, aż się człowiek dziwi, że gdzieś dalej jest też mowa o gorących latach. W wieku czternastu lat Heini

poznaje Isolde, dziewczynę z sąsiedniej wioski. Ona nie chce chłopca, więc Heini obiecuje jej, że będzie dalej się uczył, „cudem” (po wszystkich daremnych modlitwach o wsparcie) zdaje egzaminy do liceum w Münster, a ojciec bije go do nieprzytomności za to, że chce odejść z gospodarstwa. A potem niebo płonie. „Ależ skąd, to pali się moje piekło... Skończyło się. Nie wiem dokładnie, co, ale się skończyło.”

Rita König